

Adam Ziemianin

Okrawki

Opowieść o Isi, Wojtku Bellonie
i o tamtym Krakowie

Obudziłem się nagle w Barcelonie
Pan Jasio nerwowo roznosił piwo
Jak zwykle nie wydając reszty

Galaretka wieprzowa z octem
Trzęsa się ze strachu tymoczniej
Ze przy drugim stoliku
Pod oknem usiadł donosiciel

Siedziałem z Wojtkiem Bellonem
Który wciąż chciał wyjechać z Barcelony
Marzyły mu się góry wiecznie żywe
Gdzie bliżej do nieba
Ale coś go trzymało przy piwie

Potem przyszedł Andrzej
Ze Zbyszkim i Jurkiem Gizellą
Uśmiechali się stypendialnie

Wtedy jeszcze mieliśmy
Paszporty do młodości
Takie radosne

Adam Ziemiański

Okrawki

Adam Ziemianin

Okrawki

**Opowieść o Isi, Wojtku Bellonie
i o tamtym Krakowie**



**Wydawnictwo Edukacyjne
Kraków**

[Kup książkę](#)

Publikacja współfinansowana przez:
Burmistrza Miasta i Gminy Uzdrowskiej Muszyna
oraz Stowarzyszenie Przyjaciół „Almanachu Muszyny”

Redakcja: Iwona Dudzińska
Korekta: Maria Kasza, Andrzej Karpieł

Noty na skrzydełkach opracował: Bolesław Faron

Fotografia na okładce: Uwieczniony przez artystę Bartolomea Koczenasza, w ramach Grolsch ArtBoom Festival, wiersz Adama Ziemianina *Sen o Barcelonie* (na ścianie kamienicy: róg ulic F. Straszewskiego i J. Piłsudskiego, Kraków. Mural ten został wykonany na pamiątkę zburzonego w tym miejscu baru „Barcelona”). Zdjęcie wykonał: Adam Ruta

Ilustracja na str. 5: Halszka Ziemianin
Fot. Autora w biogramie: Leszek Kolczyński

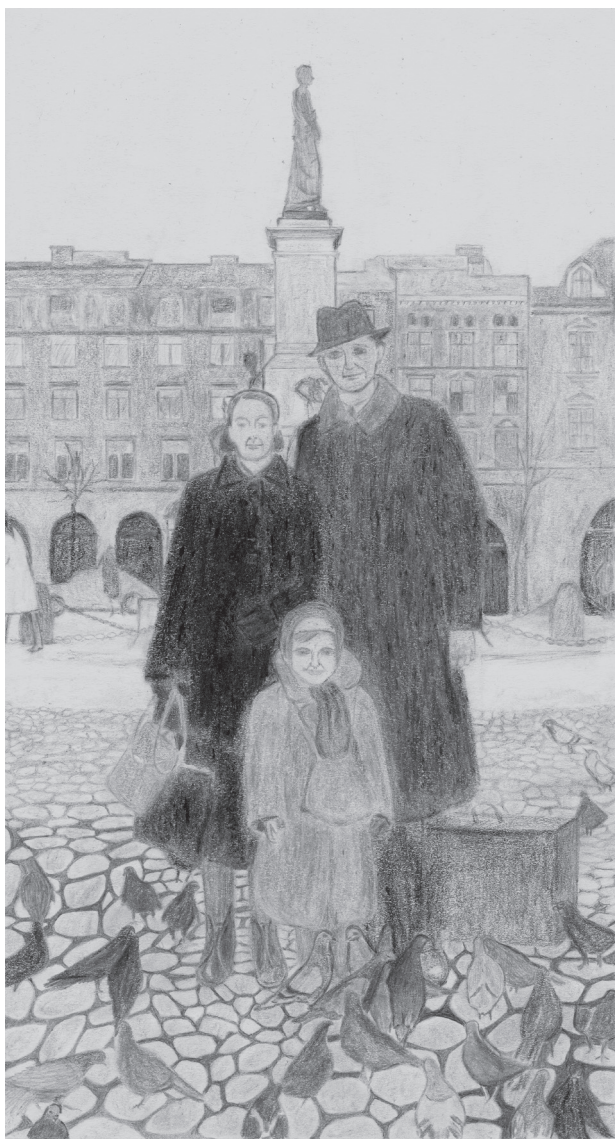
Projekt okładki: Agata Żuk
Projekt typograficzny, skład i przygotowanie do druku: Dariusz Piskulak

© Copyright by Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2021
© Copyright by Adam Ziemianin

ISBN: 978-83-65669-76-6

Wydawnictwo Edukacyjne, Sp. z o.o.
ul. Wielkotyrnowska 35
31-326 Kraków
www.we.pl; handel@we.pl; +48 12 638 00 50

[Kup książkę](#)



Mama, Babcia i Dziadek w Krakowie
rys. Halszka Ziemiańin

Inwokacja pisana mową z lekka wiązaną, a może nawet przewiazaną na kokardkę. Niecierpliwym Czytelnikom i tym, którzy nie lubią kokardek, podpowiadam, że można je opuścić w czytaniu, ale tylko w czwartek, bo to ewentualnie może być dzień pomijania kokardek! Mimo wszystko jednak tego pomijania nie pochwalam!

*...bo życie to taki okrawek
Dany nam z łaski na uciechę*
Stary Bodziony

Kraków

Ujrzałem cię pierwszy raz
Z okien wielkiego pociągu
Gdy w wagonie porwanym
Żywcem z dzikiego westernu
Płynąłem młodzieńczą falą
Zakręcony z koła na koło
Jadąc na spotkanie z tobą
I było mi sztubacko wesoło

Choć w szkolnym przedziale
Piątej klasy pan od historii
Przybierał tony uroczyste
Przed naszą lekcją narodową

Najpierw z marszu był Wawel
Który prosto w niebo strzelał
Strzelistym i dobrym przykładem

Słońcem nabrzmiałe jego hełmy
Tajemnice królewskie zakrywały
I narodowych skarbów strzegły

Zaś modlitwy wież kościelnych
Jak z łuków wypuszczone strzały
Celnie przebijały nieba pergamin

Wit Stwosz otwierał się na oścież
Sukiennice również i wiele innych
Krakowskich cudów tutaj było
Patrzyłem na to młodym sercem
Ono jeszcze mocniej we mnie biło

Nawet nikt nie zauważył
Jak do fontanny na Rynku
Wyrwany ze skarbonki siłą
Dziecięcy grosz wrzuciłem
By serce moje tutaj powróciło

Inwokacja rapowa ze szlachetną intencją skierowaną w stronę Krakowa, a przestana dyskretnie spod otwartego semafora

A Kraków wtedy był jeszcze do ogarnięcia, zaś Wawel, jako ta
odwieczna polskości twierdza i ikona, do serdecznego obję-
cia i wzięcia w ramiona. A ty byłeś wówczas na tyle święcie, ale
i naiwnie przekonany, że możesz, a nawet wręcz powinienes tego
dokonać! Stała bowiem za tobą murem twa upartość i zadziorność
małomiasteczkowa. Choć twoja misja i wizja rodziła się w młodej
głowie całkiem krucho, ale jednak się przebiła, gdyż na przyszłość
budziła ufność. I chyba dlatego szczęśliwym trafem, tak nagle za-
częła kiełkować, jak w ogródku u sąsiadów Kowalczyków – niebo-
tycznie tyczna fasola. Być może przez to, że dotyczyło to właśnie
Krakowa! Zaś kiedy już się narodziła, to od razu spore było jej ude-
rzenie i niebywała siła! Nawet nie sposób było już tego zatrzymać,
bo z impetem uderzyła – nie przymierzając – jak górską lawina!

Mimo wszystko jednak długo kłuła się samotnie, jak przyga-
szona doniczka z pelargonią w muzyńskim oknie. I dorastała od
samego początku, w myśl zasad obowiązujących tu w prastarym
miasteczkowym obrządku. O miasteczku tym, a właściwie o jego
biesiadnym staroście, sam mistrz Jan ze swadą pisał, bardziej chyba
wtedy myśląc o karnawale niż o wielkim poście:

„O starosta na Muszynie,
Ty się znasz dobrze na winie”.

Ale bynajmniej nie za z Czarnolasu Janem rozbijał się twój pierwszy poetycki taniec, choć kochałeś jego boskie pytanie:

„Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?”

Bowiem w tobie przekornie urodziło się inne przesłanie! Mimo że może nie na temat ci ono było, ale wtedy się jawiło jako najbardziej prywatne i wciąż aktualne. Takie bowiem wówczas było twoje naiwne winszowanie. I na karb młodości zaszło za skórę to patetyczne rymów stawianie:

**Trafiła kosa na kamień!
I niech w Krakowie zakwitną
Moje szlachetne przystanie!**

Tak wówczas wypełniała się twoja wolna i nieprzymuszona wola. Mimo że tego może jeszcze nie byłeś do końca pewny – ale jawiła się ona – także jako twoja najważniejsza i życiowa rola. I trzeba było mocno się pilnować, żeby nie zatracić w sobie tego świętego, w snach wymarzonego Krakowa!

Zwłaszcza że czas był rozchwiany, jak na morzu, w czasie burzy, wzburzone bywają bałwany. A ty miotaleś się od ściany do ściany, bo tak niedawno właśnie wojna się skończyła. I to ta druga światowa, jak mówili, najbardziej krwawa i nieszczęśliwa. A w okolicy jeszcze straszyły wojenne niewybuchy, czy jak wtedy mówiono, niewypały. I jak ulęgalki leżały się na miedzach i na polach. Albo zagrzebane w sianie drzemały! A czasem nawet z lekka podrażnione – tak z cicha pęk – gdzieś tam wybuchły! I niektórym taki jawił się marny koniec, bo naderwane członki i organy fruwały! Ale nie było to żadnym powodem do chwały!

Dlatego wtedy obsesyjnie zebrałeś się w sobie i pierwszy raz wylądowałeś w Krakowie. Ta ucieczka do wawelskiego grodu, czyli

właśnie do Krakowa, miała wiele ważnych powodów i nawet zaczęła ci smakować. Choć wiedziałeś, że opierała się na wariackich papierach i szalonych wzorach! Przecież nikt cię tam nie oczekiwał, nikt nie tęsknił za tobą. A tym bardziej nikt ciebie tam nie wołał! I choć przy ulicy Miodowej mieszkała dalsza rodzina, wołałeś z nią nie zaczynać. Bowiem mówili, że podobno ona spod znaku Kaina i krąży po Kazimierzu w późnowieczornych godzinach. A głównie można ją zauważyć w zakłętach rewirach.

Mimo tych trudności, to krakowskie przebywanie było ci tak jakoś od serca pisane, jak w każdym pacierzu koniec modlitwy – wiąże na klucz jedyne słowo – amen. Co znaczy – mniej więcej – niech tak się stanie! I już wtedy wiedziałeś, że kiedy do Krakowa mocniej przycumujesz, to już w nim zostaniesz i na lata tutaj zanurkujesz. I zrobisz to nawet bez maski tlenowej. Tylko niech ci służy zdrowie na walkę ze smogiem!

Od tej ucieczki bowiem – że tak okrężnie powiem – zacząć się miało twoje życiowe spełnianie i szperanie w tamtym, powojennym miejskim oceanie, czyli w obolałym po okupacji smutnym i dla ciebie samotnym Krakowie. Choć może wówczas nawet jeszcze ci się nie śniło, że właśnie Kraków – mimo że potem różnie w nim było – to będzie twoje życie, twoja krew i twoja miłość!

A czas twój wówczas miał wymiar młodzieńczy, bo wiosenna pora miłościwie królowała w twym uchyleniu na świat już od paru miesięcy. I nie prowadziła cię tutaj za uzdę przymusu żadna uchwała rządowa czy zbyt awangardowo zakręcona metafora ani – tym bardziej – bożka pogańskiego nachalnie brzęcząca mamona. Mówiłeś wtedy sam do siebie, bo chyba wyraźnie czułeś taką potrzebę. To mówienie łączyło się bowiem z pewnym apelem, a znaczyło dla ciebie tak wiele. I pamiętasz, że szeptałeś to z pewnym przejściem! A brzmiało to tak mniej więcej:

I trudno się dziwić
Że przyspiesza kroku
Me zdziwione serce

Ty bowiem już wcześniej byłeś jako ten życia pasjonat i latałeś swymi szybowcami wyobraźni, gdzieś nad miasteczkiem – ponad! Choć może trochę śmieszny byłeś, gdy objawiałeś się jako ten prowincjonalny pożeracz książek. Nie przymierzając – jak Mały Książę czy raczej niczym Mały Nieborak. Dla innych jawiłeś się też ponad, ale jako jakiś dziwak, marzyciel czy nieokrzesany mrówkojad. Taki, który mrówki liter pożera namiętnie i łapczywie, jak jasna cholera. Za każdym razem ciekaw wszelkiego nowego zdarzenia. Można by powiedzieć, że wyobraźnią unosiłeś się wyżej – co najmniej – na wysokości kolan, czyli – jak powiedziałby Tadeusz Boy-Żeleński – ponad ciągnący się żeński pensjonat.

Dlatego szczególnie Planty były dla ciebie stworzone do czułego objęcia, a – ściślej mówiąc – do obejścia, czyli okrażenia za jednym zamachem. Tu był bowiem jedyny na świecie taki serdeczny i nieustający zakręt. To wtedy uznałeś, że w tym młodzieńczym świecie i książkowym złudzeniu, a nawet – nie wstydzmy się powiedzieć – krakowskim zaczadzeniu, warto było ulec i całkiem się przemóc.

I to wówczas ci się wydawało – nie wiadomo czemu – że w bezsilności krakowskimi Plantami błędzisz niby bez problemów. A to było rytualne badanie historii i metaforyczne dotykanie dziejów. Choć mogło się zdawać, że to twoje chodzenie jest całkiem bez celu. Takie bardziej z cyklu: dookoła Wojtek, a zwłaszcza gdy przychodził piątek i chudo było w twoim studenckim portfelu! A tak na co dzień – to może bardziej chodziłeś w koło Macieju, ale jednak dawałeś się wciągnąć temu zjawisku! I w pełnym zapałowaniu – mimo wszystko – poddawałeś się temu świętemu krążeniu.

To właśnie chyba w tym olśnieniu maciejówka Józefa Piłsudskiego we mgle Oleandrów – przez moment – objawiła ci się na niebie w szarym legionowym odcieniu. I dyskretnie przemknęła, jak aureola, nad świętym wzgórzem Wawelu. A wraz z nią szło w szarym i zwartym szeregu legionistów wielu. To wtedy przy każdym kolejnym okrążeniu, zwłaszcza w okolicach wspomnianego już Wawelu, przetaczała się przed tobą coraz to pełniejsza defilada dziejów!

Ale wszystko od Głównego Dworca się zaczynało, zaraz potem z marszu robiłeś odskok bardziej w prawo. I szedłeś na całość! To był taki twój od rodzinnego Popradu zapożyczony unik, gdy przepychałeś się krętą drogą przez swe rodzinne góry.

Kolejowy tunel
W Żegiestowie
Kieszeń na złe czasy
I to on zna odpowiedź
A skorupka tym trąci
Co wzięła za młodu

To wówczas najpierw rozpinaleś na oścież średniowieczny surdut Barbakanu, który zapięty był na ceglany guzik. Tutaj bowiem zaczynał się początek twojej miejskiej i męskiej podróży. A potem – jakby w gorączce – spuszczałeś ze smyczy słoneczną agrałkę Bramy Floriańskiej. I już po chwili, niczym błady obwarzanek, wynurzało się zza chmur krakowskie zamglone słońce, miłościwie ci wtedy panujące.

Natomiast ci – władzą jak purchawki napełnieni – coraz bardziej w tę władzę ślepo brnęli. I lgnęli do niej, jak do ciepłej pościeli. I to oni dekrety pisali, bo chcieli, żeby czas tylko powojennie się liczył, a wymiar jego niechby nie był zbyt historyczny. A jedynie do bólu terazniejszy, czyli proletariacko zasadniczy! Chodziło

bowiem, żeby zamaskować wysoką historyczną stawkę, która dla obcych zatrzaśnięta była na hermetyczną krakowską zatrzaškę. A jeszcze do tego to wszystko okalały wawelskie mury i skały. Szczelnie obwarowane tajemniczym plastrem, który dobrze pamiętał czasy austriackie.

Zaś pewna niewiasta z tego wawelskiego miasta, dużo wcześniej od ciebie, tak napisała o ówczesnych Plantach, które krakowianie długo określali jako Plantacje. Przemawiały bowiem za tym historyczne racje:

I gdzież jest drugie miasto tak liśćmi pokryte.
Jakby strzechą zielonej wokoło dachówki?

A gdy owa pani przechodziła koło Jagiellońskiego Uniwersytetu, to – na Plantach – w ramach jesiennego koncertu stukały jej złote poezji podkówki. Nie dało się tego zagłuszyć ani nie próbowano tego ukryć. Zwłaszcza że owa dama była w Krakowie znana, a zmierzała do swej ukochanej, rodzinnej „Kossakówki”.

Jednym słowem – Planty – zielony kołnierzyk miasta! Przyrody dzikie szaleństwo i ziół wszelkich istna letnia wariacja! Wręcz wysokopienna aberracja! No i ówczesna, umowna – wyznaczona krakowskim targiem – granica wawelskiego państwa. Bo już królowa Bona na dziedzińcu Wawelu, z włoskim akcentem, mówiła: Niech żyje Kraków w murach swego miasta! I basta!

I nie ma się co dziwić, że to wtedy w tobie musiała narodzić się ta inwokacja!

Zwłaszcza, że byłęś podszyty, po same serdeczne szczyty, mgłą od Beskidów oraz halnym wiatrem, ale – na szczęście – łączyło się to raczej z podziwem. A nie tylko z krakowskim smogiem i strachem. Choć już wtedy, zwłaszcza w zimie, Kraków w okolicach kopca Kościuszki ubierał zakopconą smogu czapkę, która na drutach była robiona z szarej, moherowej włóczki. Czego nie dało się

ukryć! Ale jednak nie mogła ci ona – z wiadomych względów – pawimi piórami być przystrojona! I nawet szkoda, że na inne, bardziej proletariackie pawie puszczane pod stołem, była wtedy moda! Zresztą krwiożercze wzory obowiązywały też na bażanty, przepiórki i kuropatwy, bo czas był zimnowojenny. I wcale nie należał do łatwych. Ale na dzikie ptactwo obowiązywały szczególne pozwolenia i deputaty. Łapano je wcześniej we wnyki, bo takie jeszcze obowiązywały ludność dzikie wojenne nawyki. Potem podawano te ptaki na uczcie kończącej posiedzenia centralnego biura. Ale dla niepoznaki były całe w piórach, gdyż taka wówczas była wśród władzy niezwykle ludowej biesiadna kultura. Jednym słowem owe ptaki przeznaczone były dla tych, którzy ustalali ważne rządowe postulaty.

Czasem, mimo wszystko, jak na becze prochu okrakiem tu siedziałeś, bo zdawałeś sobie sprawę, jak tymczasowe jest twoje zameldowanie. A takie ulotne tutaj przebywanie było u władz miasta niezbyt mile widziane. Na szczęście ratowało cię to, że wcześniej złożyłeś studenckie ślubowanie i – choćby przejściowo, ale jednak – żyłeś w studenckim całkiem luźnym stanie. I nawet ważną legitymację z pieczęcią najstarszej uczelni miałeś! Ale indeks twój od początku był raczej w opłakanym stanie, bo zbyt często próbowałeś wygłaszać swą prywatną opinię i szarżować na oślep ze swym własnym zdaniem. A to wtedy jednak nie było zbyt mile widziane.

Doszły ci, dzięki owym studiom, nowe możliwości, aby pogrzebać wśród bogatej krakowskiej przeszłości i odkrywać – zakryte dla wszystkich innych – miejscowe cacka i ciekawostki. A nawet mogłeś czytać zakazane książki, ale tylko w miejscu wskazanym, czyli w ściśle strzeżonym i wyznaczonym obszarze uczelnianym. Chodziło bowiem o pomieszczenia miłościwie panującej nam Biblioteki Jagiellońskiej, czyli Jagiellonki. Ale tym samym spełniałeś swe prywatne pasje i radości. I pamiętasz dobrze, że w ten sposób Gombrowicza i Miłosza udało ci się odkryć.

Mogłeś też – jeśli tylko chciałeś, i było to nawet zalecane – jeździć po Krakowie tańszym tramwajem albo nawet pławić się, jak w basenie, w nocnym miejskim autobusie. Gdy wcześniej – dajmy na to – taki tramwaj sprzed nosa ci uciekł.

Ulga studencka po to jeszcze była, żeby taniej iść do kina. Dlatego mogłeś na „La Stradę” lub na „Osiem i pół” zniżkowo wybrać się na seans. Zwłaszcza do twego ulubionego kina Sztuka, bo Felliniemu już wtedy, nawet „w ciemno”, można i warto było zaufać! Albo też filmowo trafić na coś z własnego podwórka, czyli choćby na „Nóż w wodzie”, „Ostatni dzień lata” czy „Salto”. Bo też z pewnością obejrzeć te filmy było warto. A pamiętasz, jaki byłeś zaskoczony i jak cię wzruszał, gdy oglądałeś, w surowej poezji jezior zanurzony „Żywot Mateusza”?

A swoją drogą Edek bileter w kinie Sztuka to też była nie lada twarda sztuka, że nikt go w niczym nie oszukał. Zresztą on nie siedł z widzem na żaden przysłowiowy układ. Jedyne kino-wy program każdemu wciskał przed filmem za dwa i pół złotego. I w tym względzie, ponieważ był na procencie, nie było na niego mocnego. Siwy jak Jean Gabin, i także przebiegły, z rozbijającym uśmiechem Fernandela, skrupulatnie kinowe bilety sprawdzał i przedzierał. Bywało, że w przerwie między seansami nie miał co zrobić z rękami, a zwłaszcza z myślami. Wtedy sporta z papierosnicy wygrzebał swobodnie i prozaicznie uraczył go ogniem. A gdy już papieros się rozhulał, to palił go namiętnie, ale i godnie. Zaciągał się przy tym ze spokojem Gary’ego Coopera, bo nawet w samo południe w owego aktora się wcielał. Czasem, ale pod nosem coś jeszcze zaśpiewał. Tylko nikt nie wiedział, dlaczego takie dziwne solo wybierał. I nie było wiadomo, czy muzykę własną propagował! A może ludową? Zaś słowa zaczerpnięte z przedwojennej reklamy też nie pochodziły od niego:

„Wyrwicz pali tylko
Herbewo, Herbewo”.

I śpiewał to wkoło! Może dlatego, że kiedyś Leon Wyrwicz mieszkał na Grzegórkach, podobno blisko niego. A może przed wojną był Edka znajomym, a nawet starszym – po aktorskim fachu – kolegą?

Mówili też po mieście, ale to znacznie wcześniej, że do owego Edka biletera urodziwe niewiasty lgnęły jak cholera. Dlatego czasem na dancing się wybierał. Tańce miały miejsce w Feniksie albo w restauracji Kaprys! Chyba, że wcześniej trafiłeś do Warszawianki. Natomiast wspomniany Kaprys mieścił się właśnie przy ulicy Floriańskiej. To często tam pan Edek płaśał w rytm muzyki brazylijskiej czy nawet kubańskiej.

Niektórzy mówili, że taki był z niego filmowy przechera, że w młodości w kobietach jak w ulęgałkach przebierał! I jeszcze tajemniczo dodawali, iż zapowiadał się za młodu jak Zbigniew Cybulski, a może jak Tadeusz Łomnicki czy Bogumił Kobiela.

Ale tak naprawdę to raz tylko w filmie wystąpił. I to w roli pechowego kaskadera. Podobno złamał wtedy cztery żebra i ledwo się po tym pozbierał! I tak skończyła się jego filmowa kariera. Jednak w ramach zasług dla kultury masowej pozwolili mu w Sztuce, i to na cały etat, przedzierać bilety kinowe.

A potem nie tylko straszili, że w marcu może tu być jak w garncu! Ale nawet tak czynili, jak wcześniej straszili. I nie było już spokojnej chwili, kiedy w życie to wcielili! A zaczęło się całkiem niewinnie, bo od Mickiewiczowskich *Dziadów*. W warszawskim Teatrze Narodowym je wystawiali. Gdzie – przy okazji – nie obešlo się bez kwaśnej aluzji na temat braci Moskali.

Władza od razu starała się na zimne dmuchać, żeby rozbić ten wrogi studencki – według niej – zbyt luźny i chory układ! I wystawiała na ciebie milicyjne czujki na rozkaz samego Władysława Gomułki. Napuszczano studenta na robotnika, a zaraz potem robotnika na studenta. Mocne to były akcje, więc na zawsze przyszło je zapamiętać. To były władzy chytre wybiegi i całkiem przejrzysta

i łakoma przynęta! Zwłaszcza że w ten sposób sprytnie zastawiona była pułapka na krnąbrnego studenta.

A ty jak umiałeś, tak się broniłeś. I nie były to przechwałki! Chciałeś bowiem sztukę perswazji przeciwstawić sile milicyjnej pałki. Ale choć wiedziałeś, że się nie myliłeś, to oni mieli cię w garści. Ale to ty miałeś sporo racji, że nic nie można osiągnąć na siłę! Chyba że na przysłowiową chwilę. Jednak w tym przypadku bezsilny byłeś. Zwłaszcza że nawet w głównym gmachu Uniwersytetu doszło wówczas do kilku poważnych marcowych ekscesów. To wtedy milicja dała koncert na gumowe pały i gazy łzawiące.

A po mieście krążyły agresywne, choć z gruntu fałszywe czujki. Mówiono o nich, że to robotnicze lotne jaskółki pod patronatem Kliszki i Gomułki. A to były bojowe trójki, które często warczały, zwłaszcza gdy nurkując tłum atakowały. A loty ich były koszące. I – gdzie tylko trzeba było – posłusznie dawały odpowiedni koncert. Choć starano się przed światem ukryć, że to przeciw studentom – tajnym rozkazem ówczesnej „czerezwyczajki” – powołano do życia te wojujące czujki i lotne czajki.

Choć niektórzy mówili, że te czujki to takie bardziej jak u szerzenia kąśliwe czułki. Choć nie da się ukryć, że byli i tacy, którzy twierdzili, że każda czujka to łysy napletek, jaki w spodniach nosił, kryjąc się przed światem, Władysław Gomułka! Choć – prawdę mówiąc – ten napletek bynajmniej nie wziął się z tego, o czym myślicie. Zaplotło go bowiem i przyniosło samo życie. I to tak bardziej metaforycznie! A to dlatego, że towarzysz Wiesław plótł wtedy na całego. A co napłótł, to było jego! I podobno jeszcze to skrycie dla potomnych notował w partyjnym zeszytce. A szło mu to dość wolno, bo szkołę podstawową kończył jeszcze przed drugą wojną światową.

Głoszono nawet głodne kawałki, że te bojówki to są specjalne patrole pokoju, a nie żadne tam oddziały Gomułki stworzone do ulicznej walki.

Natomiast w prasie lokalnej pisano, i to zwykle na pierwszej stronie, że kto się lubi, ten się czubi! Widać to zwłaszcza w tyglu nadwiślańskim, czyli w mieszczańskim Krakowie! I tu następował – na rozkaz władzy – dyskusji prasowej koniec. Chyba że Matka Polka przypadkiem list do gazety napisała w świętej obronie syna, bo chciała w jego imieniu się ukorzyć, a może nawet upokorzyć, gdyż nie miała nic do stracenia. A może choćby tym chytrym sposobem uda się na studiach syna dalej utrzymać.

Ale areszty, bez reszty wciąż młodzieżą były przepełnione! Dlatego wyroki padały – często gęsto – przyspieszone. I wcale nie były z tych, co na pół roku bywają zawieszone. A ich rażenie jawiło się niezwykle boleśnie. I było surowe! I z wilczym biletem musiałeś piorunem opuścić uczelnię. A nawet policealną szkołę!

Niekiedy też gadali, że na przybyśzu czapka gore, gdy z prowincji przyjedzie nie w porę! Po to więc, żeby dać ci odczuć, że jesteś tu tylko nieproszonym sublokatorem, często pociąg twój zbyt długo trzymali pod zamkniętym semaforem. A specjalne służby, odpowiednio przeszkolone, pod byle pretekstem zwracały się do ciebie zwykle ostrym tekstem. Po to, by robić ci z mózgu wodę. A czasem nawet zmierzwioną żytnią sieczkę! I na każdym kroku w przedziałach drugiej klasy czynili kontrolę. Po to, żeby mieć pieczę nad wędrującym narodem. Uważano bowiem, że:

Każdy z biletem pisanym przez kalkę
Ma to podobno istotne znaczenie
Każdy ma stację wyraźnie wskazaną
Za którą nigdy nie wyjedzie...

Pamiętasz też, że w okolicach Barbakanu i Bramy Floriańskiej powiało niekiedy ognistym, węgierskim czardaszem w rytmie kapeli cygańskiej. To grał drobny ciałem, ale jakże wielki

duchem – Stefan Dymiter, mocarny mistrz skrzypiec. Ale w środ-ku był to wręcz pokurczony życiem kruchy marzyciel.

Niektórzy nawet z zazdrości, w ramach niezwyklej i swojskiej tolerancyjności mówili, że choć ten skrzypek jest wielki duchem, to jednak na co dzień jawi się tylko jako zwykły cygański kurdupel. I powinien być traktowany jako wyrzutek i marny okrawek spod znaku specjalnej troski, bo podstępnie reprezentuje narodowe mniejszości. A jak narodowości mniejsze stają się liczniejsze, to życie dla Polaka cięższe!

Ale Stefan – na szczęście – tego nie słyszał, bo dziarsko wywijając okrawkiem smyka. I spod jego strun płynęła niebiańska muzyka. Ten okrawek człowieka potrafił genialnie na świat narzekać. (Zresztą – przy okazji – naszła mnie taka uwaga, że świat częściej skłania nas do narzekania. I to nie tylko w przypadku skrzypka Stefana).

On, mimo swego nieszczęścia, delikatnie skarżył się na swe kalekie życie. I to bez jednego słowa. A nawet bez zająknięcia! Tak bowiem się składało, że jego skarga była jedynie skrzypcowa. I to ona w natchnieniu krążyła gdzieś ponad dachami Krakowa. Bo to Stefan na krakowskich dachówkach smyczkiem pisał ogni-
ste listy. I słał je – jako polecane i siebie polecające – do swojego cygańskiego Boga.

Okrażanie wawelskiego grodu czyniłeś wtedy bez zbędnego korowodu. I bez przysiadania na plantowej ławce, gdyż rwały cię do przodu młodości wzburzone latawce. Niektórzy mówili po prostu – masz babo placek – choć nie wiadomo, czy tak do końca mieli uzasadnioną rację. A poza tym sytuacja ta – już na odległość – trąciła politycznym zakalcem! Takim na dwa, a w porywach może nawet na trzy palce.

A przecież nawet Pismo Święte mówi, poparte boskim akcentem, że na początku było Słowo. A było ono niepojęte! I to ono wciąż najbardziej liczyło się propagandowo – bo według

nich – stanowiłeś wówczas świetlaną przyszłość narodową! A może nawet bardziej – ustrojową. Uważali bowiem – mimo wszystko – że choć miały tu miejsce wydarzenia marcowe, to jednak trzeba postawić przede wszystkim na młodzież!

Dlatego liczyli – zwłaszcza tu w Krakowie – że im coś podpowiesz. I że w ten sposób możesz im dyskretnie pomóc w budowaniu schronu dla partyjnego betonu. Można by też okrężnie powiedzieć: podwalin ojczyzny niezwykle ludowej. I daj Boże zdrowie! Jak to wtedy pozdrawiano się na budowie.

A przysyłał pozdrowienia owe sobie i innym, życzliwi i prości człowiek! Czyli, krótko mówiąc: szczególnie w zadek bity najniższy personel murarsko-budowniczy. Nie przeszkadzało temu wcale ruchome i strome socjalistyczne rusztowanie. Bo wtedy przede wszystkim liczył się narodowy taniec. I z gruzów wojny prometejskie powstawanie. Ale, żeby to się udało, regularne plany przekraczano. Dyskretnie przy tym sugerując, żeby jednak śmiało pójść na całość!

Ale to nie był – bynajmniej – ich oczekiwań koniec! Nawet punkty ci dali między oczy, abyś ich przypadkiem nagle nie zaskoczył. Punkty te były głównie za pochodzenie, żebyś miał mocne i odpowiednie fory. I przynajmniej zachował pozory na twórcze krążenie w tym chorowitym systemie. Takie niby szlachetne, ale jakże perfidne były ich wyliczenia, głównie ze względu na miejsce i ten czas powojenny twojego urodzenia!

No i to, że twój ojciec – do pewnego czasu – miał trochę kolejowych zasług. I spełniał się jako sumienny kolejarz. Ale tylko do nieszczęsnego wypadku, czyli do momentu, gdy doszło do parowozowego wykolejenia! Zwłaszcza że ten parowóz wioził do muzeum wykuty w marmurze wzorzec rewolucji i odlaną w srebro kwintesencję ówczesnego ustroju. A wszystkie inne wiadomości, w tym i „Kapitał” marksistowski wydany na biblijnym papierze, zamknięte były w odpowiednim kontenerze. Zaś niektóre wieści

zawarte były w tajemniczych pigułkach. Przeznaczano je dla samych najważniejszych gości, a ukryte były na specjalnych półkach.

I stąd ten pociąg lotem błyskawicy zmierzał do celu, bo miał w swoim składzie wagony z historią rewolucyjnych dziejów. Nawet mówiono – niezbyt głośno – że ojciec już gorzej trafić nie mógł! Podobno zawiodły go wszelkie hamulce. Dlatego, żeby się ratować, próbował z tego pociągu uciec. Ale jednak nie zdążył! Dlatego jeszcze bardziej się pogрузzył. Gdy tylko ten parowóz się wykoieł, ojca zamknęli w ciemnej celi! I trzymali go w wilgotnym lochu, żeby nie robił zbytniego popłochu. I choć siedział tam – sam na sam – ze szczurami, to jednak go nie złamali.

Ale gdy to już wszystko trochę przyschło, to dalej mówili, że znów są gotowi i otwarci na wszystko! Bo nowe ustroju dzieje to wciąż wyjątkowe zjawisko. A im wystarczy zaledwie dwa albo trzy nowego parowozu okrażenia i świat nie do poznania znowu w lepszą stronę będzie się zmieniał! Rewolucja bowiem jest czasem taka, że musi postawić na totalny atak. I znane są też takie, całkiem konkretne wydarzenia, że czasem matka-rewolucja musi pożerać własne swe istnienia. A wtedy poeta, zrodzony z owej rewolucji, napisze natchniony swój wielki poemat!

Wiadomo! „Rewolucja – parowóz dziejów» / Chwała jej maszynistom! ”. Chyba że Władysław Broniewski, pisząc to, był pod lekkim gazem i nawet nie zauważył, iż maszynista deczko sobie przysnął. A jeżeli jednak w tym parowozie albo dajmy na to w sąsiedniej lokomotywie – choćby na chwilę – zasnął jakikolwiek maszynista, to wiadomo, że w żaden sposób nie mógł to być komunista. Bo komunista nigdy nie drzemie w tym czujnym systemie! Chyba że ma ostrą cukrzycę i to przez nią w śpiączkę wdepnie! I przez nieuważę wplącze się w jej macki i korzenie. Albo niefortunnie na koźle historii się zdrzemnie. Bywa też, nawet w tym systemie, że popadasz w poważne organizmu zapalenie. I wtedy możesz złapać polityczną egzemę. A ona podobno atakuje

zwłaszcza przyrodzenie. Albo – co nie daj Boże – podstępnie wpadasz w dyskretnie podrzuconą przez wroga zaawansowaną anemię! Ale to podobno tylko wtedy się zdarza, gdy w organizmie maszynisty brakuje pierwiastków cynku i żelaza. Bolesne też jest nerkowe kamieni rodzenie, ale to dotyka maszynistów w każdym – nawet kapitalistycznym – systemie.

Tak zresztą oni uważali, bo wtedy jeszcze byli na wznoszącej fali. To wówczas również fryzjerska spółdzielnia pracy Fala też całkiem dobrze pod włos strzygła i politycznie znakomicie prosperowała. Choćby dlatego, że ludność po wojnie gęściej i częściej włosom zarastała. A poza tym nagminnie włos się jeżył, zwłaszcza wśród niespokojnie rozchwianej młodzieży. I nawet niektórzy z władzy sobie kpili i żartowali, że na głupiej pale kręcą się zabójcze fale! Niby, że tworzą się naturalne loki, choć marne na przyszłość jawiły się – już wtedy – socjalistyczne widoki. A te ich falujące głupotą tanie kawały nie dawały jednak powodów do wzlotów ani – tym bardziej – do chwały.

A im głupsza i tępa zakąła do góry się pchała, tym większa na jej głowie roszczeniowa fala zwłaszcza w lokach się lokowała. Szczególnie zaś chodziło tu o tych osobników od sprawowania władzy, którzy aż kipieli od czerwonej plakatówki i prymitywnej skazy. Owa skaza głównie jawiła się w nocnych wymazach i omamach. Albo ulokowana była na głowie, przeważnie zaś na ciemniaczku – bo to ci osobnicy byli jednocześnie twórcami zawodowych związków.

A jak rodzą się związki zawodowe, to muszą się pojawiać wyzwania trudne i często ponadplanowe. Dlatego – według wytycznych tej władzy – w pracy obowiązywały nieludzkie normy i nakazy. I najlepiej by było, żeby przy okazji nie forsować państwowych granic, tylko bez przerwy na własnym terenie przekraczać założone plany!

Wystarczyło być Stanisławem Sołdkiem albo Wincentym Pstrowskim, by – przez chwilę – być obywatelem specjalnej troski.

A u niektórych wrogich złośliwców ci stachanowcy jawili się jako goście specjalnej litości. Wtedy bowiem na jednego Sołdka, a także na jego kolegę, czyli Wincentego Pstrowskiego, przypadał cały zastęp działaczy szczębla specjalnego. Takiego z najwyższego piętra rodem, czyli Komitetu Centralnego. W ten sposób można było pochwalić się wynikami. Zwłaszcza przed wciąż głodnym sukcesów narodem!

Ale ci z centralnego piętra rodem byli też nieszczęśliwi, gdyż mieli szczególnie napięte stosunki z Zachodem. Tym – jak twierdzili – coraz bardziej zgniłym! A gdy stosunki z Zachodem gniją i są mocno napięte, rodzą się u działacza kłopoty z wątrobą, nerkami i sercem. A często i tak bywa, że działaczowi – gdy przemawia – głos się trzęsie, a nawet drżą mu ręce. I głupia sprawa – więc lepiej, żeby nie przemawiał!

Wtedy bezwzględnie trzeba dokonać jeszcze czegoś więcej, bo życie takiego działacza ponosi druzgocącą klęskę. I staje się bardziej beznamienne, a nawet cokolwiek pokrętne. Dlatego ów przedstawiciel władzy dyskretnie powinien przejść na zdrowotną rentę. A jak będzie na zasłużonej rencie, to może – dla poratowania zdrowia – hodować na swej daczce czy w służbowej komórce partyjnej wierne socjalizmu komórkowce, czyli bez jadu szlachetnie czujne zaskrońce.

A w gołębniku zawieszonym na partyjnym jesionie, a może na wysokim klonie czy dębie, niech ma miejsce przeznaczone na pokojowe gołębie. A może nawet bardziej na gołębice. Jako że choć już nierentowny ci on, to jednak wciąż taktowny władzy przedstawiciel. Dlatego niech dalej, choćby bardziej skrycie – za wcześniejsze zasługi – pławi się jednak w partyjnym dobrobycie.

A ty – jakby nie było – byłeś synem pracownika placówki w podmokłym terenie, którą tu kiedyś zbudowali, żeby stworzyć warunki na dobre pociągów krążenie. Czyli – jednym słowem – chodziło o budowę przygranicznej – ale jakże węzłowej – stacji

kolejowej. To dlatego semaforzy stały przed tobą otworem, przynajmniej do tej pory. Skończyło się to wtedy, gdy ojciec jako kolejarz – zresztą całkiem nie w porę – nawywił do wiwatu z tym nieszczęśliwym parowozem.

Wówczas wcale nie było łatwo o zielone semaforowe światło, bo wszędzie dominowały odcienie czerwone. Jak to zwykle bywa pod zamkniętym semaforem! Stąd rozwiązywanie problemów było zbyt miejscowe, no i raczej w swej wymowie jedynie częściowe. A efekty końcowe przynosiły rezultaty zbyt nerwowe i – co by nie mówić – bywały one coraz bardziej znikome!

To bowiem była gra pozorów, taka świetlana na niby, lecz oni jednak twierdzili, że mimo wszystko powinieneś być szczęśliwy, bo ludowa ojczyzna ubiera cię i żywi! A także broni! Co widać jak na dłoni – jak to oni często mówić byli skłonni!

A jak nie, to fora ze dwora i nie ma semafora!

Zostaje wtedy tylko prymitywna górka rozrządowa.

Co prawda, jest jeszcze do dyspozycji zwrotnica, ale ona władzę ludową znacznie mniej zachwyca. Choć, prawdę mówiąc, ktoś w tym burdelu musiał się przemóc i ogłosić się – przy cichym namaszczeniu ze Wschodu – nowym dyżurnym ruchu, czyli przywódcą zarówno partii, jak i narodu. Chodziło o to, aby ludziom głęboko przemówić do słuchu. Żeby u nas nie było rozgardiaszu, czyli gulaszu po węgiersku, ani – tym bardziej – innych rozruchów! W najlepszym razie przywódca taki z zawodu mógł być ślusarzem, o ile nie był przedtem przynajmniej ruchliwym i zwrotnym kucharzem. Takim, który w każdej chwili – przez swą elastyczną zwrotność – może zostać zwrotniczym. I dobrze, żeby znał się na wszystkim, czyli – prawdę mówiąc – przede wszystkim na niczym.

Wtedy bowiem chodziło głównie, żeby nie poślizgnąć się na politycznym gównie. Albowiem nawet nie mała matura, lecz chęć – byle była duża i szczerza – czyniła z ciebie politycznego tresera i czerwonego pomagiera! Szło też o to, żeby ten treser nie okazał

się totalnym idiotą. I – gdy trzeba – szybko do kupy się pozbierał! No i aby ten świat do końca nie zwariował! A gdyby interwencji musiała przyjść pora, żeby ten ktoś, już w zarodku rodzącego się warcholstwa, umiał ugasić zbuntowany pożar. I celnie między oczy trafić wroga. Tym zwrotniczym został wówczas towarzysz Wiesław, ale zwrotnica – niby polska, lecz wciąż – pracowała na radzieckich podzespołach, turbinach i częściach.

A jeżeliby powinęła ci się noga, wtedy wojsko wyciągnęłoby po ciebie mocne stalowe ramiona. Ale kiedy płoną zimnej wojny znicze, ramiona armii są jak śmigła, czyli bardziej cięte, zaborcze i lotnicze.

Chyba że do jednostki ochrony pogranicza cię biorą, wtedy obejmują cię zielenią wojskową i dyskretnie chronią. Ale na granicy trzeba umieć się maskować, dlatego niezbędna ci jest szczelna maska przeciwgazowa. Choćby po to, żeby za rogi sprytnie złapać wroga! Bo taki wróg może puszczać gazy po trochu. I to głównie kapuściane, fasolowe, a nawet po kaszy i łuskany grochu. Wiadomo, że przecież nieprzyjaciół nigdy nie śpi, a nawet nie drzemie w tym systemie. Tylko ciągle – gdzie może – węszy i zapuszcza korzenie! Taki wróg na nic się nie uskarża, ale cicha i podstępna bywa jego szarża! Choć czasem wybuchnąć może nagle. I błyskotliwie! Jak sylwestrowa petarda! A co nagle, to po diable! Tak już od dawien dawna głosi ludowa prawda.

Konspiracyjnie diabeł taki potrafi zacząć się w liściach akacji, która samotnie rośnie blisko wspomnianej wcześniej stacji. Gorzej, gdy zadomowi się na dzikiej czereśni. Bo wtedy cześć pieśni! Czekaj cię wówczas pokuta, poruta albo – nie daj Boże – parę kropel soku z korzenia szaleju, czyli domowym sposobem pędzona cykuta. I wtedy – jak to mówią – umarł kot w butach!

Już z wirówki wystają buty
Dwudziesty wiek jest okrutny
Nawet bez kropli cykuty

Wtedy już nawet nie śniesz! A możesz też – przez czysty przypadek – na szelkach ustroju się zawiesić. I huścić się na suchej gałęzi jak na szpiegowskiej trampolinie. Wróg wtedy takiej sprawy nie prześpi. I w tym rozhuśtanym czasie cały majdan szpiegowski dyskretnie rozbierze na części i błyskawicznie zwinie!

Albo niech taki diabeł zamieszka na starej gruszy, wtedy trudno takiego agresora z gruszy ruszyć, a zwłaszcza sprytnie go ogłuszyć. Stoi się taki w obce piórka, a na grzbiecie obrasta go szczelnie gęsia skórka. Gorzej, gdy wróg taki, a nawet owaki, żeby ukryć swe szczególne znaki, przesadnie porośnie bujnymi włosami, bo wtedy cały dokładnie jest zamaskowany. Nawet po dolne członki, odnogi i inne ważne szpiegowskie organy.

A bilety wówczas, zwłaszcza na pociągi osobowe, miałeś – dzięki ojcu kolejarzowi – cokolwiek zniżkowe. Przynajmniej przed parowozu wykojeniem cieszyłeś się tym drobnym przywilejem!

Choć wilcze bilety też już krążyły po peronie, w tej diabelskiej, zimnowojennej odśłonie. I od rana – jak to obowiązuje w wilczych stadach – tańczyły z tobą wilczego kankana, by rzucić cię na łopatki albo przynajmniej powalić na kolana! A ludzie wołali: patrzcie! Oto tam, na peronie, jawi się nam tańczący z wilkami człowiek!

To wtedy – bezwzględnie – wykorzystywali twoją klęczącą chwilę, by wręczyć ci wspomniany wcześniej bilet. A taki bilet wilczy sprawiał, że w momencie stawałeś się nikim, a może nawet bardziej niczym. Wtedy zamiast akademika czekały cię wojskowe koszary i marszowa muzyka albo – w najlepszym razie – ochotniczy hufiec pracy i łóżko piętrowe w hotelu robotniczym.

W hotelach robotniczych
Pałą stare przewodniki
Tutaj już nie możesz
Dogadać się z nikim

Kundli coraz więcej
Skaczą ci do gardła...

Natomiast było wiadome, że bilety zniżkowe od zarania miały podłoże niezwykle ludowe, a nawet rządowe! A czerwona władza, która bujnie rozkwitała, jak muchomory po partyjnym deszczu, rządziła prawie bez żadnych przeszkód. Udało jej się dość szybko sytuację opanować. Na pierwszy rzut poszła przede wszystkim Armia Krajowa! Dlatego owa władza na zniżki, bez zadyszki, pójść była gotowa, żeby za sobą szkolną młodzież porwać! Szlabany zniżkowe otwierały się zwłaszcza na bilety kolejowe, bowiem władza mogła na to pozwolić sobie, podpierając się nowym ustrojem.

Tobie z początku jednak się upiekło, bo jeszcze tak do końca nie wiedziałeś, jak może wyglądać prawdziwe piekło. Nawet rozmyślałeś, gdzie kryła się tego przyczyna. A to było proste – nie przymierzając – jak prosty w swej wymowie jest znak krzyża! Czyli inaczej mówiąc: W imię Ojca i Syna!

Wyciągnąłeś zatem tylko jeden wniosek, że za Stalina byłeś jako to pachole, czyli niewinna dziecina. Stwierdziłeś nawet, że jeszcze do podrostka brakowało ci trochę wiosen. Nawet nie byłeś obsypany pierwszym młodzieńczym zarostem!

W tym czasie, jako ta spolegliwa dziecina, często odwiedzałeś osiedlowe przedszkole pod wezwaniem dzieciątka Lenina. Zaś mały Leninek, ale tylko przez krótką chwilę, wyglądał jak cherubinek! A tak na co dzień to był raczej ognisty synek! I już w beciku było to dziecię niezwykle żywe! Bo – już od zarania dziejów było wiadomo – że człowiek ten od zawsze płomieniem walki klasowej płonął! A jego domem była wielka Rosja, czyli kolebka przemian i rewolucji łono. Lenin, już nawet jako dziecko, udzielał się niezwykle radziecko. Nawet gdy hasał w podkolanówkach i w krótkich spodniach, to wcale się nie bał rewolucyjnego ognia.

Wtedy też działał – jako młody Wołodia – i był niczym nowych przemian żywca pochodnia!

To na widok Włodzimierza Lenina – jak to ze strachem w oczach poddani mówili, poddając się ogólnonarodowej opinii – zginała się już wówczas każda mandolina. A jak dobrze poszło, to łamało się jeszcze kajakowe wiosło! No i także klasyczna gitara, bo Lenin, już od zarania, gitary, wiosła, kije hokejowe i złe charaktery rewolucyjnym wzrokiem łamał. Wystarczyło, że tylko trochę się postarał. Nawet podobno – dzięki niemu – gięła się w gryfie sama bałabajka, ale to już była inna śpiewka, i taka bardziej znad Bajkału bajka! Na Wschodzie na taką bajkę do dziś mówią skazka, bo już wtedy wiedzieli, że na pstrych koniach jechali: Lenina szlachetna dobroć i Stalina niezwykła łaska. Dlatego owe cechy kwiecieście były przedstawiane szczególnie na propagandowych obrazkach. Albo z talentem opisywane w szkolnych, czytankowych opowiadaniach.

Jednak dla ciebie dopiero potem zaczęła się pierwsza obywatelska lekcja! I to wtedy – na zawsze – utraciłeś coś z niewinności dziecka. A ówczesna władza wciąż była z nakazu. Choć przez chwilę wydawało się, że jakby trochę mniej radziecka. Dlatego naród budował stalowe socjalizmu przęsła i dalej z nadzieją krzychał: Niech żyje towarzyszu Wiesław! A Wiesław, jak się do partyjnego mikrofonu dorwał, to nie oderwał go nawet odpowiednio wyszkolony wojska oddział. Podobno dlatego tak długo przemawiał, bo myślał, że im dłużej gada, to tym trwalej umacnia się jego władza. Zwłaszcza ta partyjna, czyli w ząbek czesana! I przez to gadanie ta władza jeszcze bardziej w ludziach się osadza! Natomiast nie miał zielonego pojęcia, bo jego sztab tego nie zbadał, że to była socjalistycznie podejrzana fatamorgana.

A mówił, co popadło! I nawet krzycheć potrafił na całe gardło! Dla niego to było małe piwo albo chleb z musztardą. Czasem niczym dziad do obrazu gadał, bo uważał, iż tak wypada! Twierdził

też, że ma mało czasu, a w utrwalaniu socjalizmu chciał mieć wiele zasług. I wciąż uważał, że bez przerwy trwa ten jego karnawał! Więc nic go nie powstrzymywało od czynienia hałasu! Nawet nie musiał się zbytnio starać. To nic, że obraz mu na to nie odpowiadał nawet ni słowa, bo ta jego prząsna władza na lewoskrętną śrubę – ale tylko prowizorycznie – była przykręcona. I to ręką i kluczem ślusarza. Ale co było robić! To czasem też się zdarza! Zwłaszcza że historia lubi się powtarzać! I co z tego wynika? Że po ślusarzu wybiera się górnik.

Dlatego tylko w teorii ta władza jawiła się jako ludowa. Ale ponieważ krwawo była wywalczona, więc z całych sił trzeba było ochotczo i nieustannie jej pilnować. Zwłaszcza ze względu na podstępne manewry wroga. A nuż zachodni wrogowie zbudzą się jesienną nocą i kolbami dojrzałej amerykańskiej kukurydzy w drzwi z socjalistycznej dykty dyktatorsko załomoczą... I po co nam to? Po co?

To wtedy oderwałeś się od rodziny, bo przyszedł – na chwilę – czas oddechu, zwany też metaforycznie czasem odwilży. Temat rozważań był ci w miarę bliski, więc przemycasz go cichcem na dnie studenckiej walizki. Walizka zaś była szara i tekturowa, jak cała ówczesna ojczyzna niezwykle ludowa. Natomiast hasło tych rozważań brzmiało swojsko, jak skromna, domowa makatka: **„Ojciec wprawdzie kolejarz, lecz za to porządna matka”**.

To był twój pierwszy ważny egzamin, który po wypadkach marcowych musiałeś zdawać między wierszami. I trybom historii spocone czoło mężnie stawić. Kazali ci szukać wtedy wiatru w polu, a ty nie zbierałeś kąkolu, a jedynie cieszyły cię bławatki. Bowiem tylko w ten sposób mogłeś sobie pomóc. I tym sposobem spełnić przestrogi matki! Bo ojciec to jednak była blizna po parowozie wykolejonym, a matka to święta ojczyzna na wiele pokoleń. I zawsze – jak tylko potrafiła – chciała cię chronić!

Już wówczas zresztą garnąłeś się w ramiona sztuki, żeby przed władzą jakoś się ukryć! Gdy zaś trafiała się okazja, przywdziewałeś

kostium cyrkowego *clowna* lub jarmarcznego błazna. Albo zakładałeś uniform z kapturem wariata. I mówili o tobie: wypuśćcie wariata, niech sobie polata! Z przekąsem jeszcze czasem dodawali, bo jednak humanitarni byli, a nawet wyrozumiali: niech jeszcze sobie pohasa – przechera – póki ma to szczęście, że jest na wariackich papierach.

Niekiedy były też nieme, bardziej plakatowe apele, które nawet bez słów mówiły bardzo wiele. One to doprowadziły, że kobiety w uniesienia chwili siadały na traktory i kwiliły. Bo wówczas to podobno wzniosłe uniesienia osiągały, czyli orgazm rolny i polny, a mówiąc prościej – w pełni agrarny. W każdym razie z pewnością był to orgazm dojrzały. To głównie przez te trzęsące ursusy i zetory, zjawisko to przez niektórych działaczy nazywane było orgazmem wielohektarowym.

A na marcowe święto w tych czasach szalonych kobietom, dla miłej zgody, wręczane były pończochy, które popularnie zwano: nylony. Czasem w parze szedł jeszcze tulipan albo goździk, najczęściej czerwony! Ale on często bywał słaby i robotniczo zmęczony. To szło w parze z alkoholowym osłabieniem, które najczęściej prezentował – wręczający owe prezenty – przedstawiciel związkowy.

Padły też poboczne hasła:

– Zwróćcie uwagę na tego błazna, bo oto nie byle jaka trafia się okazja! Popatrzcie przede wszystkim na jego buty, jaki ten błazen nawet już zaraz przy ziemi jest żenująco smutny i ma dziurawe zełówki, czyli jest źle obuty. Chyba więc nie ma tu żadnej przesady, że najgorsze są smutne błazny i ich żałosne błazenady!

Szło się tedy szczeniacko, a jeżeli już jechało, to zawadiało, przeważnie drugą klasą. A pociąg był właściwie osobowy, ale miał w swym składzie i bydłące wagony. Jechały nim młode jurne wieprze i opasłe świnie, bo naród wygłodzony po wojnie kochał się w wieprzowinie. Zwłaszcza kielbasa pod każdą nazwą miała szczególne wzięcie, ale aby ją kupić, trzeba było jednak mieć spore

szczęście. I potrzebne było do kielbasy właściwe podejście. Najlepszym i konkretnym rozwiązaniem było znacznie wcześniejsze ustawianie się w odpowiedniej kolejce! Natomiast gdy wreszcie zdobyłeś kielbasy pęto, to rozpoczynało się u ciebie – do granic możliwości i nieprzyzwoitości – rozpasane na dziko, wręcz pogańskie święto!

Wreszcie przeszywało cię gorące szczęście, bo bez zwyczajnej kielbasy, no i czystej wódki, już w zarodku gasło wszelkie, nawet imieninowe, przyjęcie. I każdy wiedział, jak oplakane takich spotkań jawiły się skutki, zwłaszcza gdyby na takim przyjęciu brakowało wódki. To wtedy meliny wyrastały jak grzyby po deszczu i pracowały po nocach bez żadnych przeszkód!

Odpowiednie służby uważały bowiem, że pewnie zamierzasz coś trefnego przed władzą ukryć, więc wołały cię mieć pod specjalnym nadzorem! Bali się, że jak na przyjęciu nie będzie się lała czysta z czerwoną kartką albo wódka „Wyborowa”, to możesz pod stolikiem – z nudów i na migi – ukradkiem konspirować. A jak nawet w zarodku, czyli pod stołem, jawi się konspira, to władza od razu węszy, bo głowa boleć ją zaczyna.

To dlatego wzdychałeś do czystej robotniczej flaszki i łąsiłeś się nawet do całkiem zwyczajnej kielbasy, bo takie to wówczas były przaśne czasy:

Antyfony do kielbasy zwyczajnej

Pocieszycielko nasza
Przekrwionym wzrokiem
Wodząca nas na sznurku

Matko bolesna
Powieszona dla nas
I za nas na haku

Góro mięsa różnego
Wszystkich zwierząt
Z taniej jatki

Patronko wszystkich rzeźni
Z bielmem tłuszczu
Na oku

Lubimy cię zwłaszcza
Na dużej przerwie
Gdy z chleba naszego powszedniego
Język wystawiasz czerwony

Nasze szczęki
Zaciskają się wtedy kurczowo
Tak bardzo cię kochamy
Że pełnym ustami chwalimy rzeźnika

A gdy przyjdzie
Nam stanąć po ciebie
W kolejce pełnej po brzegi
Myślimy opanowani

A cena jej
Czterdzieści i cztery

Zaś robotnicze salony uwielbiały swojskie boczki i salcesony. Kochano się też w kaszance, słoninie, pasztetówce, no i we wspomnianej czystej wódce. Zresztą wtedy nie było żadnych innych uciech! Chyba że na festynie kręcąca się karuzela, ale ona też często budziła zbyt sprzeczne i obłądne skojarzenia. A jeszcze gorsza

była odpustowa huśtawka, bo od huśtania się na niej dopadała cię kapitalistyczna czkawka. Zaś jak taka czkawka cię szarpie i męczy, to trzeba mieć na jej posiadanie odpowiednie dokumenty, no i dużo pieniędzy!

Wódka zaś najczęściej była z czerwoną kartką, jako symbol ustroju, więc – o paradoksie – nienawidząc jej, że wprowadza cię w omamy i niegodna jest twej sprawy – kochałeś ją za to! Doceniałeś bowiem, że daje ci złudnej wolności powiew. I przynosi namiastkę trochę durnych i złudnych pociech. Zwłaszcza przy sobocie po robocie. Albo gdy zbliżał się dzień z wypłatą, ona czekała na to, jak na lato!

Nawet wśród robotniczej ludności krążyło wówczas kozackie hasło. Nie wyczytałeś tego hasła z żadnej książki. I nie podawały go do wiadomości żadne branżowe czy zawodowe związki. A – swoją drogą – trzeba przyznać, że hasło to, choć było prymitywne i umowne, ale jednak ludowo trafne, jurne i przekorne. A brzmiało po prostu:

„Wódka to twój wróg, więc lej ją w mordę!”

Nikłe były wtedy jakiekolwiek możliwości zagranicznego wyjazdu, nawet jeżeli miałeś w utrwalaniu socjalizmu sporo zasług. Zwłaszcza ci od czerwonej władzy wobec Zachodu czuli się wręcz bosci i nadzy! I nie mogliś im pomóc, bo nie byłeś z ich branży. Choć podobno francuskie salony otwarte były na oścież dla wielu braci wschodnioczerwonych. Albowiem wcześniej bracia z Paryża pilnie odwiedzali radzieckie wzorcowe kołchozy. I wdzięczni byli Stalinowi, że ukazał im w tak przystępny sposób radzieckie metamorfozy. No i po radziecku zaszczipiony, kwitnący pełną gębą dobrobyt!

W pierwszej klasie zaś jeździli, ale tylko pociągami krajowymi, starsi albo zasłużeni urzędnicy. Mogli tak podróżować nawet bez podawania przyczyny. Bo to było w narodowym zwyczaju, żeby doglądać, jak plany narodowe się mają. I każdy konduktor musiał

się z tym liczyć. Dotyczyło to też dyżurnych ruchu, a nawet zwykłych pracowników na przetoku oraz szeregowych zwrotniczych. Nie bez racji sporo do powiedzenia mieli także zawiadowcy stacji.

Wśród tych specjalistów dopuszczanych do pierwszej wagonowej klasy był oficer wyższy, a także sędzia dla kraju uczynny, czyli czerwonemu ustrojowi niezwykle pomocny. Był też starszy radca kolejowy i ministerstwa zdrowia wysoki rangą pracownik oraz specjalista rządowy do spraw Ziem Odzyskanych, czyli tych bardziej zachodnich. Nie brakowało także twórców nowej ery, którzy na potęgę budowali wzorcowe pegeery!

Niekiedy trafiał się również zasiedziały na swym stanowisku naczelnik więzienia, bo ten pracę miał pełną poświęcenia. Do krat się przywiązał zaraz po wojnie, gdy było w narodzie niespokojnie. Dlatego on raczej na swym stanowisku nic nie zmieniał. Wiernie natomiast montował kraty – i to na raty – zwłaszcza dla wrogiego podziemia! I do widzenia! A od kiedy tę placówkę objął – za usługi dla niej – w nagrodę mógł tu pracować dożywotnio. I tego z pasją się podjął. Bo krat musiało przybywać, a niektóre – te rdzą przeżarte – trzeba było wyrwać i na nowe zmieniać!

No i pilny prokurator też jeździł pierwszą klasą, gdyż zapracował na to. Według ówczesnej władzy zasłużył sobie na to nawet wiele razy! Wydawał bowiem zaoczne – i po partyjnej linii – słuszne wyroki, że skazaniec nawet okiem mrugnąć nie zdążył. I nie próbował mu podskoczyć! Zwłaszcza gdy ów prokurator dla swego podsądnego ferował wyrok specjalny, niezwykle zasadniczy, czyli dożywotni. Bo kiedy trafiło się dożywocie, to zwykle było po herbacie, a – niektórzy wrażliwi dodawali – że nawet po kompocie! I nie pomogły apelacje i listy ślone do samego Bieruta, bo taki wówczas panował warszawski układ. A wszystko odbywało się w myśl starej zasady, że na układy nie ma rady!

Gorzej, że niekiedy i tak bywało, iż dla postrachu ogłosić trzeba było śmiało najwyższy możliwy wyrok, czyli karę śmierci.

Wtedy prokurator ów, proponując tę karę, męczył się i wiercił. Czasem nawet z nosa puściła mu się krew, ale wiedział, że to socjalizm go wzywa, więc go zdobywał i po trupach ku niemu szedł! Byle do przodu, żeby nie zawieść narodu i tych wiernych towarzyszy ze Wschodu! Wschodni towarzysze jeszcze z tego znani byli, że niezwykle byli pamiętliwi. I jak coś ustalili, to tego się trzymali. I na to nie było siły! A przy tym twierdzili, że nigdy się nie mylili. Chyba, że był to Lew Trocki, którego w Meksyku musiał dopaść Mercader – czyli sowiecki agent specjalnej troski.

Natomiast gdy prokurator uzasadniał na sądowej sali nawet te mniejsze wyroki, które były tylko w zawieszeniu, nigdy żadnemu skazanemu w oczy spojrzeć nie mógł. Dopadła go – jak twierdził – dziwna choroba sądowa, podobno dlatego, że pochodził z północnych okolic Krakowa. To tam kiedyś ludność miejscowa na suchej gałęzi powiesiła pewnego prokuratora, bo udzielał fałszywych porad. A może bardziej chodziło tu o prowokatora? Trudno więc się dziwić, że czasem w snach owego czerwonego prokuratora żywcem dosiadała niejedna zmora! Mówił on też, że od tego patrzenia w paragrafy boi się, żeby nie popełnić jakiejś sądowej gąfy, bo czasem kręci mu się w głowie. A on – choć jest czerwonym prokuratorem – to jednak czasem siedzi w nim „ludzki” człowiek. Co jednak nigdy i przez nikogo nie było potwierdzone!

Prokurator ów w samotnej wódce uparcie topił sumienia wyrzuty, aż do momentu kiedy tego się upił. Wówczas krzyczał po pijanemu, że on tak musi! I do widzenia! Zresztą jako prokurator chyba nie miał w ogóle sumienia, ale – mimo wszystko – że był bez sumienia, to jeszcze coś ważnego miał do stracenia.

Dowiedział się o tym, wprowadzcie zaocznie i w niedobłą porę, że podobno wcale nie chodziło tylko o to, że zaraz po wojnie dostał od władzy państwowej kryty ogniotrwałym gontem szlachecki dworek. No i dali mu jeszcze czarną służbową wołgę. Otrzymał

też na letnie wypadki – tak bardziej w myśl czerwonej zasady – daczę nad jeziorem.

A gdy wracał czasem z tej daczki lipcowym wieczorem, ludzie po okolicy szemrali, ale przezornie i skrycie, bo jednak się bali. Dlatego leżeli ukryci całkowicie w wysokim – po pas – życie. Rzadko kiedy ukrywali się w owsie, pszenicy, prosie czy jęczmieniu, by prokurator na gorącym uczynku złapać ich nie mógł. Wtedy murowany byłby na nich wyrok, co najmniej dwa lata do odsiadki albo obóz przymusowej pracy w odosobnieniu. Ewentualnie dwa albo trzy lata w zawieszeniu:

Królowka władzy z powagą jedzie
Ocenia zbiory na chłodno
Dodaje w głowie wszystkie kwintale
Aż trzęsie się wołgi pudło

Jednak mówiło się trudno, kiedy na polnej drodze trzęsło się wołgi pudło. Nawet miejscowi żartowali, że prokuratorowi przy najmniej nie jeździ się tu zbyt nudno! I nic nie pomogło, że ta droga żwirem i cementem była utwardzona. A szczególnie zrobiono to dla wygody prokuratora. A wszystko uczyniono w społecznym czynie, bo liczone, że z tej pułapki prokurator już się nie wywinie. I nawet podkładano mu miejscowe świnię. A on owe świnię chował do wołgi bagażnika i jeszcze potrafił z tą świnią dyskretnie zniknąć. Ale jednak wołał, gdy podrzucali mu dzika, bo wtedy inna obowiązywała go taktyka!

Ale i ty też z emocji drżałeś, gdy wagonem drugiej klasy pod Wawel dojechałeś. To wtedy po Krakowie stawiałeś pierwsze kroki i to wówczas, z młodzieńczym namaszczeniem dochodziłeś pod Mariacką Wieżę. To tam czekały na ciebie serdeczne widoki. I podziwiałeś je dyskretnie i szczerze, jakbyś w cichości się modlił, szepcząc górskie, dyskretnie wymyślone przez ciebie pacierze. Albo

cumowałeś pod Wawelem, albowiem wtedy działa się tak wiele! Człowiekiem bowiem byłeś młodym i świata ciekawym, a wokoło rozgrywały się ważne akcje i niezwykle sprawy. No i to przed tobą właśnie – w całej krasie, jakby z lotu ptaka – jawił się gród Kraka.

Nie mówi się kraka, tylko kracze – jak Piłat w credo wtrącił się pewien językowy cwaniaczek. On to uczynił na wszelki wypadek, żeby – przy okazji – dać ci życiową radę i oszczędzić na przyszłość większych, politycznych wpadek.

To był młody i czujny purysta językowy, który też był tu nabytkiem przyjezdnym od Andrychowa albo może spod Wadowic. Akuratnie szedł obok ciebie Plantami, więc słyszał kątem ucha twe wędrowne dywagacje i najbliższe plany. I wiedział, że chyba coś się zacznie, bo czas nie był zbyt zabawny. A tym bardziej że ty byłeś dla niego jako ktoś językowo tak nie do końca sprawny. Jawiłeś się mu bowiem, że tak powiem, jako ten biblijny Judasz albo nawet niczym syn marnotrawny!

A jak wiadomo, na krakowskich Plantach naukowców różnych specjalności było sporo. Zwłaszcza koło Uniwersytetu Jagiellońskiego kotłowali się naukowo. To bowiem przy Collegium Novum gromadził się zawsze najlepszy naukowy kwiat narodu. Zatem ów naukowiec od języka słyszał, że gdzieś dzwonią, więc – żeby mieć na ciebie haka – czujnie zakrakał. Nie wiedział jednak, w którym kościele kracze, bo to był jednak – mimo wszystko – zamiejskowy biedaczek. A przecież w Krakowie od wieków świątyni jest wiele, a jedna dostojniejsza od drugiej. I wszystkie błyszczą tak na co dzień, jak i w niedzielę, że niektórzy – nie tylko ci nawiedzeni – mówią tu nawet o krakowskim cudzie.

Te świątynne błyski jawiły się twym bliskim przede wszystkim podczas procesji na Boże Ciało albo gdy kościelnych ślubów udzielano. Niektórzy zaś te cuda mieli możliwość ujrzeć dopiero po ślubie, ale byli i tacy, którzy widzieli je nawet przed ślubem. Ci byli chyba szczególnie nawiedzeni. Ale – podobno – ci co

uwierzyli, a nie ci co ujrzeli, będą zbawieni! I przed oblicze Pana postawieni.

Natomiast jeżeli o śluby chodzi, to wtedy garnęli się do siebie wszyscy – i starzy, i młodzi. Wcześniej dawali na zapowiedzi, bo jednak wspólnie chcieli ten cherlawy czas przeżyć. A wiadomo, że po wojnie nie było jeszcze tak całkiem spokojnie.

A co dwoje, to jednak nie jedno! Nawet gdyby człowiek ustrojowo się zapętlili i podczas przemówienia czerwonego dygnitarza się zdrzemnął! Bo zawsze tak było i dalej jest w tym systemie, że gdy jeden czuwa, to drugi często drzemie. W takiej oto ludowej mądrości – od lat – żyło polskie plemię! Choć mądrość ta miała również szlacheckie korzenie. Chodziło bowiem o to, żeby – w razie czego – nie było wpadki do odsiadki, czyli błahego pretekstu do osadzenia wątplących w przepastnych czeluściach ówczesnych aresztów!

Spacerowo tedy się szło i wręcz zabytkowo. To była wędrówka z rozdziawioną gębą, ale i z otwartą głową, gdyż na początku było Słowo. To co w Prologu Ewangelii według św. Jana napisano, poniekąd i na polonistyce obowiązywało. Choć w Gołębniku byłeś raczej wesołym kibicem, bo najbardziej lubiłeś studiować życie... A to stąd, że na każdym kroku wszystko cię dziwiło. I na wskroś w tobie kwitła do wolności miłość. To wtedy miałeś powody, żeby na chwilę wpaść do Barcelony, która już wtedy, jako bar studentki, miała wymiar kultowy. Tak przynajmniej wtedy myślałeś, choć wiedziałeś, że w Barcelonie zbyt długie przesiadywanie, to jakby na linie tańczyć niebezpieczny taniec.

Nawet jak się z Bocianowa przyjechało na jednej tekturowej walizce, bo czasy były niepewne, no i raczej śliskie. Albo wcześniej ze Lwowa, tak jak chociażby Iśka, która wybrała się w drogę na dwóch walizkach i z rodzinnym kuferkiem. Tak jej po wojnie przyszło wyruszyć na życiową poniewierkę. I na zawsze traciła przedwojenny paszport, ale – mimo wszystko – dalej

zachowała swój animusz, no i ten lwowski respekt. Choć miała świadomość, że nie będzie już powrotu w jej rodzinne strony i w tamto serdeczne miejsce. Taki był bowiem cyrograf pisany ręką Stalina i nie było co z nim zaczynać! Bo on miał różne nocne zwidy, rewolucyjne wzwody, krwawe fobie i mroczne fanaberie, że w każdej chwili mógł na ciebie nasłać samego Berię. A jak w akcję wchodził krwawy towarzysz Beria, to w najlepszym razie czekała cię Syberia!

Mogłeś też przybyć bez walizki, ale za to z sercem na dłoni otwartym dla wszystkich. Tak jak Wojtek Bellon, który miał plecak pełny Buska-Zdroju i Bukowiny. Wtedy też czuło się, że coś iskrzy i szło się w umowne maliny w ogrodzie botanicznym. Albo umawiano się w Lasku Wolskim, zamiast iść na wykład z Młodej Polski.

Uważałeś bowiem, że Młoda Polska nie jest tak interesująca i może poczekać, ale bynajmniej nie poczeka młoda, gorąca i piękna kobieta, która cię zachwyca i wiosennie podnieca! Bo ona ma świadomość, że piękno, choćby najbardziej podziwiane, szybko ucieka, jak ulotny sylwestrowy taniec znika nad ranem. Trzeba więc od razu wiedzieć, co jest grane i kuć żelazo póki do czerwoności jest rozgrzane! Dlatego ona wiedziała, jak zawrócić ci w głowie – przynajmniej przez chwilę – i może dlatego tym pilniej jej towarzyszyłeś. Ale wiedziałeś, że nic nie może być na siłę!

Bywała bowiem kapryśna i trochę niecierpliwa, a tu serce łapczywie ku niej się rwało, więc chciałeś ją na dłużej przy sobie zatrzymać. Młodzieńczo marzyłeś o tym, że to będzie twoja – na całe życie – dziewczyna, która schowa się pod twoje opiekuńcze skrzydła. Wtedy o tym nawet napisałeś, a wymowa tego wyznania była szlachetna, choć cokolwiek naiwna. Oto tamte młodzieńcze słowa. Musiałeś, a może nawet chciałeś zaryzykować:

Został im tramwaj
Siódemka chyba
Tulą się do siebie
Na przednim pomoście

Ona nic nie mówi
Bo jest szczęśliwa
Motorniczy wiezie
Ich miłość na oślep...

Ale ona już wtedy – jak to dziewczyna – bardziej marzyła, żeby się ukryć w rozłożystych ramionach bogatego krakowianina! I może nie całkiem była w tym jej wina, bo też z małego miasteczka do Krakowa przybyła! Szło jej więc o zdobycie takiego krakusa, który najlepiej w tym gąszczu miejskiej dżungli potrafiłby sprytnie się poruszać. No i żeby w jego najbliższym planie było przewidziane spółdzielcze i słoneczne mieszkanie! Najlepiej z widokiem na Skalkę lub na Wawel. Nie mówiąc o samochodzie. Dobrze by było, żeby był na chodzie. No i prezentował się w odpowiednim kolorze, który szczególnie teraz jest w modzie. I najlepiej, żeby raty za niego były już wcześniej spłacone.

Pokój przechodni, czyli semafor się zamyka.

I choć nie ma melodii, to wciąż gra muzyka...

Na chwilę bywało, iż jednak odpuściłeś, bo byłeś na tyle zmęczony, że wolałeś przycupnąć na czas jakiś w pokoju przechodnim wynajmowanym na czarno. To był bowiem czas żałoby – szczególnie trudny dla wdowy – po starszym radcy kolejowym. A przez ciebie przechodzili inni, czyli jakimś krakowskim cudem cię przekraczali. Pokój ów z tego jeszcze słynął, że był wciąż na oścież otwarty i zawsze gościnny. A ty stylem grzbietowym płynałeś na studenckiej fali!

Ów pokój, położony w kamienicy przy placu Matejki, nie dość, że jak puchar przechodni, do życia się nie nadawał, to jeszcze żywot w nim bynajmniej nie należał do lekkich. A jeszcze czynsz za niego jawił się jako mocno wyśrubowany, czyli zaliczał się do drogich. I te nieustannie trzeszczące podłogi! Do tego dochodziły rozchwiane nerwicowo przedwojenne parapety! No i – przez długi czas – na korytarzu obowiązywały wspólne toalety.

Dlatego nie ma się co dziwić, że pokój z rąk do rąk przechodził, bo nie należał do wygodnych, ale i nie do wielkich, choć znajdował się na placu Matejki. Podobno przed wojną owe pomieszczenie to była domowa spiżarka, w której kątem mieszkała tylko jedna kucharka. Ona tu najczęściej spała przy pustych garnkach. Czasem też obok kucharki zjawiała się tu osoba sprzątająca. Ale raczej przejściowo. I tak nie do końca. Bowiem sprzątająca spod Krakowa pochodziła, więc była – taka bardziej – dochodząca. A potem zaszła w przypadkową ciążę i zwolniono ją – podobno – na własną prośbę. Tak jak to było – nie przymierzając – u Gabrieli Zapolskiej.

A teraz ta spiżarka jakimś cudem stała się pokojem wieloosobowym, ale mówili, że czas powojenny jest czasem przejściowym. Dlatego – mimo wszystko – domownicy przekraczali cię, żeby nie zadeptać złotej kury i by cię nie uszkodzić, bo jednak czynsz na bieżąco płaciłeś z góry, więc byłeś dojną krową. Choć za plecami śmiali się z ciebie, że zbyt pocziwą, bo małomiasteczkową! Ale w grodzie Kraka każde pieniądze to rzecz cenna, ponętna i nie byle jaka.

Przychodzą pielgrzymki sklerozy
Oglądają dotykają
Biorą cię w depozyt
Na serce coś radzą spożyć
Albo na wątrobę zażyć

Czasem zagubiony tramwajarz
Przejedzie na sygnale
Po parkiecie dziurawym...

Tak się urywa zapis znaleziony w jednym z krakowskich muzeów. Zagubił się w magazynie Zbiorów Sztuki Zawieszanej na Kołku, czyli wolno zwisającej. Nie bez kozery, bo jednak o dawnych czasach mówił. Z drugiej połowy ubiegłego wieku!

Ale co to?! Oto mamy drugi rękopis na papierze pergaminowym, spisany ołówkiem chemicznym, czyli kopiowym. Tym razem w ów papier owinięta była rzeźba przedstawiająca Łukasza Uszczypliwego, czyli inaczej mówiąc – Łukasza Pizzichiniego, który pochodził ze wsi Wojkowa Górna. A potem zawędrował do Sieny, uciekając przez zieloną granicę. I tam życiowo się odnalazł jako Polonii światły przedstawiciel.

Twój dom – arka w cyprysach
W dole Siena z nerwowymi
Samochodami turystów...

Rzeźbę tę wykonano w drewnie lipowym, bez specjalnych upiększeń. A sam Łukasz Uszczypliwy znany był z wygłaszania mów wiązanych i z artystycznego wyplatania koszu wiklinowych, których używano do święcenia potraw wielkanocnych. I dlatego z początku trafił do magazynu muzealnego, czekając na lepsze czasy.

Aby przeczytać dalej...

Zapraszamy do księgarni!